didaskalia
gazeta teatralna

Z numeru: **Didaskalia 165**
Data wydania: październik 2021
Źródło: https://didaskalia.pl/pl/artykul/hiperrzeczywistosc

/ Centrum Politycznego Piękna

Hiperrzeczywistość

Z Yasserem Almaamounem rozmawia Wiktoria Tabak

Przeprowadziłeś się z Syrii do Berlina w 2013 roku. W jaki sposób dowiedziałeś się o działalności Centrum Politycznego Piękna (niem. Zentrum für politische Schönheit; ang. The Center for Political Beauty) i co sprawiło, że zdecydowałeś się dołączyć do zespołu?

W Syrii brałem udział w licznych protestach przeciwko reżimowi Baszszara al-Asada. Trochę mi brakowało tej adrenaliny po przyjeździe do Niemiec, więc zacząłem szukać nowych aktywności i tak trafiłem do grupy teatralnej matthaei & konsorten, która tworzyła projekty choreograficzne wokół tematyki migracji i uchodźstwa. Wspólnie zrobiliśmy kilka improwizowanych akcji, które rozgrywały się na basenie, w hotelu i na lotnisku BER. Przez te osoby dowiedziałem się, że jest taki zespół jak Centrum Politycznego Piękna, i że akurat poszukuje do nowego projektu Syryjczyków mówiących po niemiecku, więc się do nich zgłosiłem i właściwie od razu zostałem zaangażowany do pracy nad *Federalnym programem ratunkowym*.

W jakiej roli?

Zajmowałem się kontenerową instalacją umieszczoną przy Friedrichstraße. Rozmawiałem z ludźmi, którzy tam przychodzili. Pytałem ich, czy wiedzą, co się dzieje w Syrii i opowiadałem, że Centrum Politycznego Piękna chce umieścić setkę syryjskich dzieci w niemieckich rodzinach zastępczych. Uderzyło mnie to, że sporo osób nie tylko nie słyszało o wojnie domowej, ale nie wiedziało nawet, gdzie leży Syria. W ramach tej interwencji razem z innymi Syryjczykami brałem udział w rozmowie na temat naszych oczekiwań względem państwa niemieckiego. Duża część tej dyskusji toczyła się wokół cierpienia: trójka moich rozmówców mówiła głównie o tym, że potrzebuje ratunku i pomocy, a mnie takie myślenie denerwuje. Nie chodzi o to, żeby jedni ludzie zbawiali innych ludzi czy im współczuli, tylko o to, żeby dać nowo przybyłym szansę i stworzyć jakąś wspólną przestrzeń do rozmowy, wymiany doświadczeń czy wzajemnej nauki – umożliwić im rozwój i samorealizację. Nie chcę mówić tylko o traumie, wolę opowiadać o swoich zainteresowaniach. To dla mnie sposób na jej przepracowywanie.

I po tym projekcie, jak rozumiem, zostałeś ministrem spraw zagranicznych w Centrum Politycznego Piękna. Jaki zakres obowiązków obejmuje taka funkcja?

Przez pierwsze trzy lata współtworzyłem i planowałem projekty na temat kryzysu migracyjnego [*Pierwszy upadek europejskiego muru* – 2014, *Zmarli nadchodzą* – 2015, *Zjadanie uchodźców* – 2016; przyp. W.T.]. Później zacząłem robić też prezentacje o grupie. Brałem udział w sympozjach,

festiwalach, konferencjach na terenie Niemiec i całej Europy, gdzie opowiadałem o tym, czym się zajmujemy. Za każdym razem, gdy wyjeżdżałem za granicę, starałem się nawiązywać znajomości z innymi aktywistyczno-artystycznymi grupami i budować siatkę kontaktów – stąd się wzięła ta zabawna funkcja, ministra spraw zagranicznych, o której mówisz.

W prawie każdą waszą akcję zaangażowane są osoby z zewnątrz i wolontariuszki, zastanawiam się, kto stanowi trzon zespołu?

Na początku Centrum Politycznego Piękna tworzyły cztery osoby, w tym założyciel – Philipp Ruch. Z czasem zespół zaczął się rozrastać. Obecnie zaangażowanych jest około sześćdziesięciu osób, ale przed każdą akcją rozmawiamy i wybieramy mniejszą – złożoną z kilku lub kilkunastu osób – grupę, która jest odpowiedzialna za kształt danej interwencji. Pozostali, jeśli chcą, mogą pomagać, ale to ten trzon podejmuje wszystkie decyzje. Szukamy też wolontariuszy i wolontariuszek. Wysyłamy informację, tworzymy rejestr chętnych (obecna lista liczy około trzech tysięcy zainteresowanych) i odzywamy się do poszczególnych osób. Na ten wybór ma wpływ, między innymi, lokalizacja, w której realizujemy dany projekt. Cały ten proces powtarzamy przy nowej operacji, dlatego zawsze pracujemy w różnych konstelacjach i z nowymi ludźmi.

Kto w takim razie ponosi prawną odpowiedzialność za wasze działania?

Philipp Ruch, czyli założyciel Centrum Politycznego Piękna, to jedyna osoba, która prawnie odpowiada za wszystko, co robimy podczas interwencji.

Zresztą przed każdą operacją rozmawiamy o możliwych konsekwencjach (częścią zespołu są prawnicy) i otrzymujemy od niego zapewnienie, że mamy się nie martwić i działać zgodnie z planem, bo i tak prawne konsekwencje ponosi on – jeśli ktoś pozywa Centrum Politycznego Piękna, to oskarżony jest Philipp.

A jakbyś określił relacje panujące między wami? Pracujecie w bardziej hierarchiczny czy horyzontalno-kolektywny sposób?

Tak i tak. W grupie wszyscy jesteśmy równi, ale przy konkretnych operacjach dominującą pozycję zajmuje ten kilkuosobowy podzespół. Reszta może pomagać, wykonywać przydzielone zadania. Trudno, żeby sześćdziesiąt osób podejmowało wspólnie każdą decyzję – to by było niewykonalne. Przy czym, jak mówiłem, ta sytuacja zmienia się w każdym projekcie, więc raz jesteś odpowiedzialny za wszystko, a innym razem angażujesz się w takim stopniu, w jakim chcesz czy możesz.

To ciekawy sposób myślenia o pracy i podziale obowiązków, zwłaszcza że przygotowanie pojedynczej operacji zajmuje wam zwykle kilka miesięcy. Domyślam się, że to intensywny i wymagający czas, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, dlatego trudno byłoby się angażować w każdy kolejny projekt z taką samą siłą.

Sama praca koncepcyjna nad kształtem operacji trwa około sześciu miesięcy, a publiczna interwencja rozgrywa się w przeciągu kilku albo kilkunastu dni, z tym że jest to najbardziej dynamiczny okres. Przed rozpoczęciem interwencji w przestrzeni publicznej studiujemy różne scenariusze,

próbujemy przewidzieć, co się stanie, ale bez względu na to, jak długo się przygotowujemy, zawsze jesteśmy zaskoczeni rozwojem sytuacji i musimy reagować na bieżąco.

Jak wygląda proces planowania?

Mamy ruchomy zespół badawczy składający się z dziesięciu osób, który zajmuje się czytaniem informacji ze świata, analizą wydarzeń politycznych i społecznych, robieniem prasówek. Każdy nasz projekt składa się z trzech części, które musimy opracować i jakoś ze sobą połączyć. Są to: działania w przestrzeni publicznej, działania w Internecie i jedno, konkretne pytanie do przedstawicieli władzy. To pytanie przewija się przez całą naszą kampanię i wokół niego orientujemy nasze działania. Pytamy, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Na przykład: dlaczego nie przyjmiemy większej liczby uchodźców? Dlaczego uchodźcy nie mogą skorzystać z transportu lotniczego? To bardzo łączy nas z publicznością, wierzymy, że przejmie ona to pytanie i zada je rządzącym za pomocą dostępnych demokratycznych środków, czyli inicjatyw obywatelskich, petycji, projektów.

Jak w tym kontekście rozumiesz kategorię sukcesu w sztuce politycznej?

Sukces jest bardzo rzadko uchwytny natychmiast. Nasze działania ciągle rezonują, powracają w dyskusjach, mają znaczenie i to jest dla mnie jakiś sukces. Stawiane przez nas pytania dotyczące nietransparentnych działań Frontexu, przepływów migracyjnych czy wzrastającego poparcia dla ruchów prawicowych i neonazistowskich nadal są aktualne i domagają się

odpowiedzi. Zdarzają się jednak sytuacje, w których efekt dostrzegalny jest od razu. Tak było, gdy w odpowiedzi na *Pierwszy upadek europejskiego muru* powstała organizacja Sea-Watch, patrolująca morskie wybrzeża i ratująca uchodźców, czy gdy po *Federalnym programie ratunkowym* państwo niemieckie zdecydowało się na przyjęcie większej liczby syryjskich uchodźców.

Wasze interwencje wymierzone są zazwyczaj w decyzje rządzących, dlatego zastanawia mnie struktura finansowania zespołu. Utrzymujecie się wyłącznie z darowizn od prywatnych sponsorów i ze zbiórek czy otrzymujecie także publiczne dotacje?

Chcemy być niezależni, dlatego nie aplikujemy o publiczne środki. Jedyny wyjątek stanowią współprace z publicznymi instytucjami, takimi jak na przykład Teatr Maksyma Gorkiego w Berlinie. Otrzymujemy stałe, comiesięczne wpłaty od prywatnych darczyńców i to pozwala nam pokryć koszty pracy zespołu badawczego, ale przed każdą interwencją organizujemy osobną zbiórkę (na kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy euro) i tam wyszczególniamy, na co te pieniądze zostaną przeznaczone. Z roku na rok coraz więcej osób wspiera nasze działania, więc często udaje nam się zebrać potrzebną kwotę z nawiązką już w pierwszych dniach od uruchomienia crowdfundingu.

Sami wyszukujcie instytucje partnerskie czy dostajecie od nich zaproszenia? Co umożliwiają takie współprace?

Mamy w zespole osoby odpowiedzialne za nawiązywanie kontaktu z

instytucjami [ich dane nie są ujawniane – przyp. W.T.], ale czasem to po prostu samo przychodzi – opowiadamy o naszych projektach na festiwalach, konferencjach, warsztatach i potem dostajemy zaproszenia do współpracy. Bardzo rzadko otrzymujemy od placówek partnerskich bezpośrednie wsparcie finansowe. Teatr Maksyma Gorkiego zapewnia nam zaplecze techniczne, wsparcie aktorek oraz aktorów i oczywiście legitymizację społeczną. Poparcie instytucji kultury od razu inaczej pozycjonuje nas w mediach, uwierzytelnia nasze działania, zapewnia większą widoczność. Współpracujemy jednak nie tylko z publicznymi instytucjami kultury, ale także z innymi grupami artystyczno-aktywistycznymi. Niektóre z nich, jak na przykład Radical Daughters czy Sea-Watch, są współtworzone przez osoby w jakiś sposób związane z Centrum Politycznego Piękna.

Mam wrażenie, że nie da się rozmawiać o waszych strategiach i konkretnych projektach bez zrozumienia tego, czym właściwie jest – zawarte w nazwie zespołu – „polityczne piękno". Co ten termin dla ciebie oznacza?

Kluczowym słowem jest tutaj hiperrzeczywistość. Łączy ono w sobie, według mnie, politykę, sztukę i piękno. Centrum Politycznego Piękna tworzy fikcyjne scenariusze, które rząd mógłby zrealizować, gdyby tylko chciał, ale najczęściej nie chce. Staramy się przenosić odbiorców w alternatywny świat, umożliwiać im inne spojrzenie na społeczne problemy – w tym właśnie dostrzegam potencjał politycznego piękna. Pokazujemy, że inny świat jest możliwy, a co publiczność z tym zrobi, jakie działania podejmie lub nie podejmie, to już inna kwestia.

Gdzie tutaj realizuje się, postulowany przez was, agresywny humanizm?

Wychodzimy od wartości humanistycznych i w tym duchu proponujemy rozwiązania społecznych problemów, a agresywność zawiera się w sposobie, w jaki wgryzamy się w rzeczywistość. Za pomocą środków wyrazu staramy się wybijać ludzi z przyzwyczajeń, obojętności i zwracać ich uwagę na społeczno-polityczne kwestie. Zależy nam na takim efekcie, jaki uzyskał na przykład Piotr Pawlenski: gdy przybił swoje jądra do placu Czerwonego [10 listopada 2013 roku – przyp. W.T.] w geście sprzeciwu wobec polityki Kremla i apatii Rosjan, to trudno było przejść koło tego obojętnie. Ludzie zaczęli się zastanawiać, co się dzieje, czemu ten człowiek to sobie zrobił – i o to właśnie chodzi. Przykucie uwagi to już połowa sukcesu, a reszta zależy od tego, czy te nasze działania trafiają do wrażliwości odbiorców i odbiorczyń, czy nie. Ta agresywność zawiera się również we wspomnianym już balansowaniu na granicy fikcji i rzeczywistości. Uruchamiamy w ten sposób społeczny niepokój, wzbudzamy różne emocje, tak jak przy okazji akcji *Zjadanie uchodźców*[1]. Cała operacja trwała trzynaście dni. Ustawiliśmy w przestrzeni publicznej ogromne klatki z tygrysami i ogłosiliśmy, że rzucimy im na pożarcie chętnych uchodźców. Ludzie natykali się na tę konstrukcję w drodze do pracy, podczas rodzinnego spaceru. Nie wiedzieli, co się stanie, jaki będzie finał tej akcji, a my celowo – do samego końca – nie rozwiewaliśmy tych wątpliwości, przeciwnie, podkręcaliśmy napięcie, przedstawiając osoby, które dobrowolnie zgłosiły się do pożarcia. I to jest właśnie polityka agresywnego humanizmu.

Wzbudzacie dużo skrajnych emocji, polaryzujecie niemiecką sferę publiczną. Rozumiem – z tego, co mówisz – że o coś takiego wam

chodzi, ale zastanawiam się, czy ten efekt czasami przerasta wasze oczekiwania. Myślę tutaj głównie o akcji *Pomnik Holokaustu w Bornhagen*[2]. Po tej kampanii Centrum Politycznego Piękna zostało wpisane na listę organizacji terrorystycznych.

Takiego obrotu spraw nikt z nas się nie spodziewał. Znaleźliśmy się pod szesnastomiesięczną obserwacją. Szpiegowały i podsłuchiwały nas niemieckie służby bezpieczeństwa – to było na swój sposób traumatyczne. Zastanawialiśmy się wszyscy, co robiliśmy w tym czasie, także prywatnie, co mogłoby wpłynąć na tę sprawę. W końcu poprosiliśmy naszych prawników, żeby zapoznali się z aktem oskarżenia. Cała teczka miała osiemdziesiąt stron (wewnętrznej korespondencji, zdjęć, wydrukowanych publicznych tweetów), ale na próżno było tam szukać konkretów. Ta sytuacja rzeczywiście, jak mówisz, bardzo nas zaskoczyła. Dużym wsparciem był Philipp Ruch. Dzięki niemu czuliśmy się bezpiecznie, bo to on odpowiadał za te działania w sądzie. Na szczęście cała sprawa wyjaśniła się po tych kilkunastu miesiącach i nie jesteśmy już uznawani za organizację terrorystyczną. Przeciwko Centrum Politycznego Piękna wniesiono po tym projekcie łącznie trzydzieści pozwów, ale za każdym razem sąd ogłaszał wyrok na naszą korzyść.

Gdyby to się wydarzyło w Polsce, to podejrzewam, że skończyłoby się zupełnie inaczej. Przygotowując się do naszej rozmowy, starałam się nawet znaleźć polski odpowiednik waszego zespołu, ale trudno mi było wskazać instytucję czy organizację, która nie tylko robiłaby tego rodzaju interwencje w przestrzeni publicznej, ale również miała tak silną pozycję w społeczeństwie. Wasze projekty są dyskutowane w parlamencie, telewizji czy w mediach społecznościowych. Nie działacie w niszy.

To jest związane z wolnością i autonomią sztuki, która jest chroniona przez niemieckie prawo (konkretnie przez artykuł piąty konstytucji). Gdy brałem udział w zagranicznych sympozjach, to zawsze pytałem reprezentantów innych krajów, jak to jest być artystą politycznym w ich państwie. Wszędzie to wygląda nieco inaczej, a prawne uwarunkowania mają ogromny wpływ na to, co robisz i na sposób, w jaki to robisz. Co do naszej pozycji – udało nam się uzyskać duży kredyt zaufania od niemieckiego społeczeństwa w ciągu tych trzech lat, gdy robiliśmy projekty o kryzysie migracyjnym. Pokazywaliśmy wówczas te kwestie z zupełnie innej, bardziej wewnętrznej perspektywy niż media głównego nurtu i łączyliśmy różne historie po to, by oświetlić punkty wspólne.

Często odnosicie się w swoich projektach do niemieckiej historii, do dziedzictwa Holokaustu i próbujecie budować pomost między historycznymi a aktualnymi zdarzeniami. Co chcecie osiągnąć poprzez takie porównania?

To bardzo ważna część naszych interwencji. Z jednej strony sprzeciwiamy się pustemu kultowi bohaterów, a z drugiej pytamy o ich dziedzictwo – jakie wartości są nadal aktualne, a jakie tylko ładnie brzmią w ustach polityków. Tworzymy te powiązania między przeszłością a teraźniejszością i stawiamy pytania o niemiecką kulturę upamiętniania, chociaż są to bardzo złożone i trudne zagadnienia. Idziesz ulicą nazwaną od czyjegoś nazwiska, otaczają cię tablice czy pomniki, które mają o czymś przypominać, bo są częścią tej kultury, ale tak do nich przywykłaś, że stały się przezroczyste. Nie zastanawiasz się – mijając je w drodze do pracy – nad tym, co one upamiętniają, bo wrosły w miejski krajobraz. W tym kontekście dużo kontrowersji wzbudził nasz projekt na temat spuścizny rodzeństwa Schollów

[*75. rocznica Białej Róży* – W.T.]. Powiedzieliśmy politykom, że chcemy wysłać dwójkę chętnych nastolatków do wybranego współczesnego reżimu, żeby rozdawali ulotki wzywające do jego obalenia. Oczywiście usłyszeliśmy, że nie możemy tego zrobić. W takich momentach uruchamia się to napięcie, o którym mówię. Są szkoły i ulice nazwane na cześć rodzeństwa Schollów, pomniki upamiętniające ich antynazistowski opór w Białej Róży, ale gdy pytasz o to, do czego to odsyła, jak myśleć o tych wydarzenia współcześnie i co zrobiliby Hans i Sophie Scholl dzisiaj, pojawia się problem. Politycy mówią o humanistycznych wartościach, dziedzictwie, ale najczęściej tylko mówią. Powtarzają wytarte formułki, ale nie wnikają w to głębiej. Zanurzanie się w te tematy – szczególnie te związane z Holokaustem – w jakimś sensie zagraża niemieckiej tkance społeczno-politycznej, bo jest ona ufundowana wokół kultu historycznych wydarzeń.

Zwykle w takich przypadkach zostajecie oskarżeni o instrumentalizację ofiar, naruszenie pamięci o nich, a czasem nawet o wtórną przemoc.

Nie mamy wpływu na odbiór. Stawiamy trudne pytania, wywołujemy dyskomfort i ludzie próbują się na różne sposoby przed tym bronić, ale takie narracje często odwracają uwagę od sedna problemu. To mi przypomina egipską historię z lat dwudziestych ubiegłego wieku. Dwie pary (siostry Rayya i Sukayna wraz z mężami) porwały bardzo bogatą kobietę, okradły ją i zabiły. Podczas zeznań jeden z mężczyzn na pytanie o to, dlaczego zabił tę kobietę, odpowiedział, że zrobił to, ponieważ gdy ją dusił, ona go ugryzła. Lubię tę analogię, bo pokazuje mechanizm przekierowywania uwagi. Jest jakiś społeczno-polityczny problem, giną ludzie, więc nakierowujemy na to reflektor i słyszymy, że to my jesteśmy tymi złymi, to my reprodukujemy

przemoc. Nie wiem, gdzie leży granica radykalności. Stosujemy radykalne humanistyczne środki, bo inne metody się wyczerpały. Mówimy, że na granicach giną ludzie, a rząd odpowiada – to przykre, ale przede wszystkim musimy chronić siebie.

To, o czym mówisz, trochę mi przypomina spostrzeżenia Davida Rieffa, który krytycznie odnosił się do narracji o tym, że gdyby świat wiedział o tym, co działo się w nazistowskich obozach zagłady, to jakoś by tę tragedię powstrzymał. Nie dopuścił do jej eskalacji. A to przecież nieprawda. Ludzie, którzy mają władzę i mogliby coś zmienić, najczęściej doskonale wiedzą, co się dzieje na świecie, ale wolą się nie wychylać, bo to dla nich z wielu powodów bezpieczniejsze. Ewentualnie mogą wyrazić zaniepokojenie łamaniem praw człowieka.

Masz całkowitą rację, ale do tego dochodzi jeszcze kwestia wartościującej ramy nakładanej przez media i polityków. Gdyby niemieckie dziecko utonęło na wakacjach w Hiszpanii, to ten temat byłby wałkowany u nas w gazetach i telewizji przez kilka dni. Ale gdy tonie kilkanaście syryjskich dzieci na Morzu Śródziemnym albo ginie w strefie Gazy, to już nie jest nasz problem – bo oni nie są nasi. Politycy w Europie lubią się odwoływać do wielkich słów i humanistycznych wartości. Powtarzają, że człowiek jest najważniejszy, a jego życie najcenniejsze, ale nie dodają, że mają na myśli tylko wybrane życia.

Mam wrażenie, że coś takiego uwidoczniło się przy okazji *Pierwszego upadku europejskiego muru*. Symptomatyczne wydało mi się, że

negatywna recepcja tego projektu niemal zupełnie zignorowała waszą podróż na bułgarsko-turecką granicę w celu zniszczenia obwarowania, a całą energię skupiła na krytyce kradzieży krzyży upamiętniających ofiary muru berlińskiego. Czyli po raz kolejny komentujący skupiali się tylko na „swojej historii", a przecież, jak mi się zdaje, o tym właśnie jest ta interwencja – że każde państwo opłakuje i upamiętnia jedynie własne ofiary, pozostając ślepe na inne.

Właśnie. Dlatego my poprzez nasze agresywne kampanie wytrącamy ludzi z przyzwyczajeń, kwestionujemy ich *status quo*. Zmuszamy do namysłu nad tymi sprawami i czekamy na ich reakcje.

Czy w związku z tym spotykacie się z groźbami? Myślę głównie o zagrożeniu ze strony prawicowych ekstremistów, ale nie tylko.

Oczywiście, nieustannie. Niektórzy do nas dzwonią i grożą, że nas zabiją. Mówią, że to jest ich kraj i powinniśmy się stąd wynosić. Nagrywamy takie połączenia, bo to jest karalne, a oni sami się podkładają, dzwoniąc do nas. Inna sprawa to hejt w Internecie. Zawsze, gdy rozpoczynamy medialną kampanię, natychmiast tworzy się kontrkampania. Przeciwnicy udostępniają nasze posty, wzywają do bojkotu, ale jesteśmy im za to wdzięczni – to tylko zwiększa nasze zasięgi.

Gdy analizowałam *Federalny program ratunkowy*, sama miałam dwie wątpliwości. Pierwsza dotyczyła rodzin – kim były osoby, które zgodziły się wziąć udział w waszym projekcie? Czy wszyscy z nich wiedzieli, że to akcja artystyczna, a nie program ministerialny?

Na niemieckojęzycznych formularzach, które przesyłaliśmy zainteresowanym rodzinom zastępczym, umieściliśmy niewielki przypis: „To jest projekt artystyczny. Podpisując ten dokument, wyrażasz zgodę na bycie jego częścią”. Zapewne część osób nie doczytała tego fragmentu, ale z naszej strony wszystko zostało przeprowadzone zgodnie z prawem. Później taki wypełniony wniosek docierał zarówno do nas, jak i do Ministerstwa do Spraw Rodziny, Osób Starszych, Kobiet i Młodzieży. Pracujące tam osoby były zagubione, bo nasze formularze wyglądały bardzo realistycznie, ale nikt z nich o tej akcji wcześniej nie słyszał. Ministerstwo odpowiedziało zresztą ciszą, ale kilka tygodni później Niemcy ogłosili, że przyjmą dodatkowe dziesięć tysięcy syryjskich uchodźców.

Druga wątpliwość dotyczyła syryjskich dzieci. Zastanawiałam się, w jaki sposób wytłumaczyliście im ich rolę w projekcie. Dzieci udostępniały swój wizerunek na zdjęciach i filmikach – czy to było prawnie sformułowane?

Wysłaliśmy do tureckich obozów osoby, które mówią po arabsku, żeby wytłumaczyły dzieciom i ich opiekunom, na czym polega nasza kampania. Zapytaliśmy ich, czy chcieliby coś przekazać społeczeństwu europejskiemu i oni entuzjastycznie na to zareagowali. Oczywiście upewniliśmy się, że wszyscy byli świadomi tego, że biorą udział w akcji artystycznej. Zawarliśmy też z nimi umowy o udostępnianiu wizerunku.

Współtworzyłeś również, jako członek zespołu do spraw planowania, projekt *Zmarli nadchodzą*. W jaki sposób kontaktowałeś się z

rodzinami zmarłych, których ciała później przetransportowaliście do Berlina? Jak wam się udało to załatwić od strony administracyjnej?

Natrafiliśmy na informację o masowych grobach we Włoszech i w Grecji. Pojechaliśmy tam, zidentyfikowaliśmy zmarłych i próbowaliśmy się skontaktować z ich rodzinami – to było moje zadanie, ponieważ znam język arabski. Ten kontakt, oczywiście, nie należał do najłatwiejszych, bo trudno do kogoś zadzwonić i powiedzieć: „Dzień dobry, jesteśmy grupą artystyczną, chcemy ekshumować grób, w którym znajduje się ciało pana żony, brata czy dziecka". Z dziesięciu rodzin, z którymi się kontaktowałem, tylko dwie zgodziły się na ekshumacje i transport ciała do Berlina. Zebraliśmy od nich pisemne zgody (jedna rodzina była w Danii, druga w Niemczech) i skorzystaliśmy z istniejącej infrastruktury. Są firmy, które transportują zmarłych na terenie Europy. Mają odpowiednio wyposażony samochód, podróż odbywa się w asyście lekarza. Płacisz i oni przewożą ciało w ustalone miejsce. Ale tutaj zaczęły się problemy, bo wynajęty przez nas samochód został zatrzymany na inspekcję – policja podejrzewała, że kierowca jest pod wpływem narkotyków. Przetransportowano go na lotnisko do Monachium. Tam wszystko dokładnie sprawdzono, przeszukano, zweryfikowano dokumenty i potwierdzono, że w samochodzie znajdowały się dwa martwe ciała. Od strony prawnej funkcjonariusze nie mieli żadnych zastrzeżeń – wszystko było przez nas legalnie przeprowadzone. Później zorganizowaliśmy dwa pogrzeby na dwóch cmentarzach (muzułmańskim i chrześcijańskim). Udało nam się zrobić streaming dla rodzin. Ciągle jesteśmy z nimi w kontakcie. Obie rodziny mieszkają obecnie w Niemczech i przyjeżdżają do Berlina odwiedzać groby bliskich.

**Szczerze przyznaję, że gdy pisałam artykuł o tym projekcie [*O*

***sprawczości martwych ciał*, „Didaskalia. Gazeta Teatralna" nr 160 – przyp. W.T.], zastanawiałam się, czy naprawdę ekshumowaliście ciała i przewieźliście je do Berlina, czy może to kolejna mistyfikacja.**

Mogę cię zapewnić, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Mamy zdjęcia, kontakt z rodzinami – rozmawiamy z nimi każdego roku. No i jest jeszcze ten policyjny raport na potwierdzenie.

Miewasz momenty zwątpienia? Coś ci się wydaje złym pomysłem albo zbyt radykalnym?

Nie, jestem we wszystko zaangażowany całym sobą. Bardzo to lubię i wierzę w to, co robimy.

Pandemia mocno zrewidowała wasze plany? Macie zamiar teraz silniej operować w przestrzeni online?

Nie mogliśmy się spotykać, przez cały ten czas pracowaliśmy w wirtualnych przestrzeniach, w mediach społecznościowych, co znacznie ograniczało wiele rzeczy. Udało nam się jednak przeprowadzić, głównie w Internecie, kampanię *Nasze bronie*, ale kosztowało nas to wiele wysiłku. Nie chcemy teraz robić bardzo skomplikowanych działań w przestrzeni publicznej, bo sytuacja jest, jaka jest – trudno zachęcać ludzi do wyjścia z domów, gdy to ciągle bywa ryzykowne. Może uda nam się coś większego zorganizować we wrześniu.

Będzie to projekt o pandemii?

Nie mogę tego zdradzić, ale raczej nie[3].

Rozmowa odbyła się 30 kwietnia 2021 roku. Została przeprowadzona na potrzeby pracy magisterskiej *Agresywny humanizm. Analiza wybranych strategii Centrum Politycznego Piękna* (2021) napisanej pod kierunkiem prof. Grzegorza Niziołka. Za pomoc w nawiązaniu kontaktu z Yasserem Almaamounem serdecznie dziękuję prof. Beacie Kowalskiej z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Wzór cytowania: *Centrum Politycznego Piękna*, z Yasserem Almaamounem rozmawia Wiktoria Tabak, „Didaskalia. Gazeta Teatralna" 2021 nr 165, https://didaskalia.pl/pl/artykul/hiperrzeczywistosc.

Autor/ka

Przypisy

1. https://youtu.be/nZaCmu-cc3Q
2. https://youtu.be/vFzDH8OvDqE
3. Najnowsza kampania Centrum Politycznego Piękna została zrealizowana tuż przed tegorocznymi, wrześniowymi wyborami do Bundestagu. Członkinie kolektywu, podszywając się pod nieistniejącą firmę zajmującą się kolportażem ulotek (Flyerservice Hahn), zaproponowały przedstawicielom Alternatywy dla Niemiec (AfD) rozpowszechnianie materiałów wyborczych w okazyjnej cenie. Partia przyjęła ofertę, choć żadna umowa między stronami nie została ani sporządzona, ani podpisana. Pod koniec kampanii Centrum Politycznego Piękna przyznało się do manipulacji i ogłosiło w mediach, że firma nie może zrealizować zamówienia i rozpowszechniać ulotek, na których znajdują się propagandowe hasła o zabarwieniu nazistowskim, ponieważ jest to sprzeczne z ich zasadami. Ostatecznie

ulotki nigdy nie dotarły do rąk potencjalnych wyborców, dlatego politycy AfD planują wnieść oskarżenie przeciwko kolektywowi. Zob. Ellen Francis, *German activists pretended to deliver a far-right party's election fliers. A court battle could be next*, "The Washinghton Post" 27.09.2021, [dostęp: 13 X 2021].

Źródło: *https://didaskalia.pl/artykul/hiperrzeczywistosc*